

5/1147

ARCHIWUM Wschodnie III

WSPOMNIENIA

z czasów wojny 1939 r. Wandy Szczęśliwiarzowej, Iza veto Swelkiewiczowej.

Terstraszony rok 1939 zaczął się od ślubu mojej Hani z porucznikiem 4go Pułku Ułanów Zaniemeńskich, Zygmuntem Szczęśliwiarzow, w dniu 28 I 39 r. i kucznego wesela w sali balowej Hotelu Georgea. Ślub w kościele Garnizonowym, św. Ignacego, wypełnienym po brzegi tłumem ciekawych, widoku pięknej uroczystości w eleganckiej oprawie. Bratanicę do ołtarza prowadził brat niezjącego Ojca, stryj Witalis Swelkiś, starszy pan o niezwykłej urodzie, a pana młodszego prowadził on - ja - przyszła teściowa. W chwili, gdy zwalnia schodzili ze stopni ołtarza szczerkowały szable, krzyżujące się nad głowami nowożeńców i tak pod błyskiem stali, przez szpaler kolegów z pułku, przez szpaler ludzi oglądających ślub, jak widowisko na scenie - szli w nowe życie moja Hania z Zygmuntem.

W sali Georgea stoły zastawione w podkewę, balowe stroje, światła, orkiestra, barwny tłum gości, rodzina najbliższa, a liczna, oficerowie 4go Pułku Ułanów, prześliczne drużki, dobrana do urody Panny Młodej - Iza Oskierczanka, Wanda Mirska z Kamienpola, Teofilka Kozłkowska, Hanka Ober tyńska niezwykle uroczą, Hanka Młodzianowska, wszystkie rwące eczy urodą, wdziękiem, strojami. Taństy, życzenia, tańce do rana.

Mieszkanie 4re pokojowe na ul. Kalwaryjskiej, urządzone przytulnie, z kosztownymi meblami, zastawami, dywanami miało zapewnić młodą parę dostatnie i beztrudnie bytowanie. Nie załowałam grosza na wesele, o którym długo mówiono w Wilnie, na piękną wyprawę dla pieszczonęj córki Kasztantego Swelkiewicza z Szajkun. Nie żył od roku, mądry i piękny Ojciec Hani, zabrakło rozumnege opiekuna. Na szczęście syn szedł w ślady Ojca, głęboko czujący, inteligentny, dzielny, koczowniczy, prawy, z dużym poczuciem humoru. Od jeneroni miał iść na studia. Zapowiadał się życie bez problemów - Hanka już sąsiadka, Edzie na USB.

Mijały wiosenne miesiące, Hanka oczekiwała syna, lub córeczki! Lekko ta zniechęcała, pełna optymizmu. Miałła z ul. Kalwaryjskiej bliska na Lasztanową, do mnie, wpadała często z mężem, lub sama, rozważająca, lekko patrząca na wszystkie dokoła, nie zbyt przejęta wiadomościami ze świata od których trzęsło się całe miasto. Cóż natarczywiej, głębiej mówiono o wojnie. Właśnie teraz, kiedy życie zaczęło układać się tak łatwo i obiecująco. Majątek z paroma tysiącami na lasów, własny dom przy ul. Tomasza Zana na Zwierzynku. A przy tym... załedwie 40 lat! W pełni kapitał zdrowia i urody.

Ale nadszedł dzień w końcu sierpnia, gdy zaczęły się dziać rzeczy o których strach było żyć. Z przytulnego mieszkania na Kalwaryjskiej, z objęć szlochającej Hani ruszył Zygmunt do pułku, a stamtąd na wojnę, która w parę dni później rozpałała się nad Polską. Zaczęło się bombardowanie Wilna, paniczne ucieczki do schronów, brak żywności, opału. Pozamykane wszystkie sklepy, pieniądze straciły wartość. Najgorsze, najcięższe do zniesienia były wiadomości z terenu walk. Niemcy parli naprzód pomimo operu i rozpaczliwej obrony naszych wojsk. Dnia 17 IX od wschodu druga napaść bez wypowiedzenia wojny. Zwalił się Wschód na nasz nieszczerony Kraj. Klęska była ostateczna, teraz czekała na nas niedza, tułaczka i więzienia. Przerażenie egarnęło ludzi. Ulicami przelatywały czelęgi, ciężarówka stare, obdarte, roztrzaskane, z żołdatami e kałmuckich gąbac przemieszczając miasto w różnych kierunkach bez potrzeby i sensu, siejąc załduch, hałas i przerażenie. Maszerowały oddziały wynędzniałych, cuchnących, żołdatów, czasem mających wygląd chłopców w obdartych szynelach. Szli, przy dźwiękach piszczałek nieudolnie i fałszywie wygrywających „Katuszka”. Zaraz puszczano wyłapywać wojskowych, po których ginął wszelki ślad. Zapędziano się więzienia na Łukiszczkach i na Subocz.

Dnia 15 XI Hania urodziła Córeczkę bez żadnych komplikacji, bujną i spokojną blondynkę i tego samego dnia niepostrzeżenie zjawił się Zygmunt, z którego niepokoił się wszyscy od dawna. Wrócił wyniszczony w przeobrażeniu chłopakiem, aż ze Lwowa, dokąd zamierzono go wraz z innymi wziętymi do niewoli przez Sowietów. Udało się uciec z konwoju i trzema piechotą, trzema

furnankami dotarł do Wilna, gdzie musiał kryć się przed ludźmi, jak dzikie z zwierzę.

Rok 1940 pamiętny potworną zimą, spędziliśmy na ul. Tomasza Zana, Hania sprzedawała meble, ubrania, wyprawną pościel, by mieć pieniądze na utrzymanie. Naraził się dostał pracę w piekarni, co zapewniło chleb dla całej rodziny. Była to nęca ciężka praca w upale i zaduchu. Moi lokatorzy płacili regularnie, więc chwilowo nie było biedy. Jednym z lokatorów był prof. Nowowiejski, wykładowca języków obcych na USE. Miał żonę, podobno Nienkę, która po ich przyjęciu wyprawiała z nimi kuczne zabawy. Jej 18 letni syn, będący w AK dostał się w ręce niemieckie, do więzienia, na skutek starań matki uwolniony - wrócił nie do domu lecz do swego oddziału.

Zaczęły się poważne kłopoty Zygmuntów. Nie mógł się pokazywać ludziom gdyż był dziecimy go kto nie poznał i nę wydał Sowieta. Musiał kryć się, wychodził ciekawymi wieczorami z domu, zawsze pod strachem, że nie wróci. Po kilku pilnych poszukiwaniach znaleźliśmy zaciszny domek w lasku, w Ożarelach na Kolonii Magistrackiej, o osiem klm. od centrum miasta. Przenieśli się do małego, trzy pokojowego domu, bez żadnych wygod, bez bieżącej wody, za to wórad sosen mieli wspaniałe powietrze, świeżę mleko dla młok, która rosła zdrowo, ne i Zygmunt większą swobodę poruszania się do domu. Przyjazd nastąpił w lipcu 1940 r. Przeszli jesień tego roku i zimę 1941 nisko lżejszą od poprzedniej, a wiosną Hania zaczęła pracować, aż w Nowowiejskiej na stacji kolejowej jako kelnerka.

W tym 1940 roku od wiosny zaczęły dochodzić wiadomości o masowych wywożeniach ludności z terenów zagrabionych przez Sowiety. Zabierano ludzi z wiosek, folwarków, miasteczek i dworów, właścicieli i pracowników dworskich, wywozili zamożniejszych właścicieli, urzędników, dzierżawców, gajowych, osadników wojskowych, nauczycieli, księży, zakony. Ślad po nich ginął.

Z wielkim smutkiem dowiedzieliśmy się o wywiezieniu Oskierków z Międzyrzecz, Fiedorowiczów z Krycewicz, i innych naszych kuzynów krewnych i znajomych, którzy pozostali w sweich domach. Wówczas jeszcze w miastach było spokojnie i można było przetrwać czas jakiś bez trwogi o życie. Z Międzyrzecz, ciężaróką wywieźli całą rodzinę Oldzia, który od szeregu miesięcy był uwięziony w Pełocku. Franja z córkami i synem zegnała dwór i ludzi stojących wokół ganku a nieszczęsna Ciscia Jadwinia, popędzana przez żołdaka, stanęła w progu ganku w głos szlachając, wznosząc z rozpaczą ręce do nieba, siwą, trzęsącą się, w pełni świadoma, iż to Jej wyjazd ostatni.

A wiosną zaczęto znów mówić o wywożeniu z różnych okolic Wilna. Wzmogły się przesławania. Był to już rok 1941. Coraz natęczywiej szerzyła się pogłoska o mającym nastąpić masowym wywożeniu mieszkańców naszego miasta. W niepokoju i trosce mijaly tygodnie. W moim mieszkaniu na Tomasza Zana zamieszkała Fela, pracująca w szpitalu, aż na Antokelu, dokąd jako pielęgniarka codziennie świeciła. Oczekiwali ją tam czerzy, witając z radością, gdyż miała niewyczerpaną cierpliwość i słodycz dla biedaków potrzebujących opieki i do- braci.

Pierwsze dni czerwca upływały spokojnie, a dnia 13 czerwca od świtu zaczęła się akcja wywożenia ludności na Sybir, do Kazachstanu, na Kamczatkę, Giełżarówki, obdarci, tak jak i stojący w nich żołdaci uzbrojeni po zęby, zatrzymywali się przed kamienicami i domkami, według spisu od dawna opracowanego, walono kolbami w drzwi i kazano natychmiast zabierać się i wychodzić z domu. Całe rodziny, lub pojedyncze osoby. Pozwalano zabierać z sobą osobiste rzeczy, doradzając nawet czasem co zabierać najpilniej. Przez trzy dni trwało to piekło. Wieziono do Nowo-Wilejki na stację, gdzie nę oczekiwały wagony towarowe, ciepłuszki, z okratowanymi okienkami. Pełną rozpacz i przerażenia ludzie, stłoczeni w warunkach strasznych, nie kibitkami, jak niegdyś, a koleją jednali utartym szlakiem za Ural.

Oczekiwaliśmy kiedy i do nęgo wieszania zaczną walić kolbami w drzwi. Deczekaliśmy! Ale nie po nęcie, - po Feli! Przywieźli ją z pracy, kazali szybko pakować rzeczy, szybko wychodzić. Krótkie, bolesne pożegnanie, może na zawsze i odjechała z ubogimi tobołkami na wygnanie.

Zabrano tego dnia Maniutę z małym Witkiem, Bogusławowiczów z ich dwoma chłopaczkami, Iusię Szkliewiczową z jej 12 letnią Irusią, Kazika z Małgosią... Opuszczające miasto, z kręgu znajomych poszło na zyskó wielu, mało kto powrócił.

Po trzech dniach przerwa w wywożeniu zabrakło wagonów, szykowane nowe składy pociągów na dalsze transperty. Przyczyniło, jakby wymarło miasto nieszczęsne, tylko wieleda Katuszy rozleżała się na ulicach, parkach i wszędzie, obrzydła, tak bardzo rosówka, wygwizdywana i śpiewana przez Żydziaków butnych, pewnych siebie, jak nigdy dotąd.

W poniedziałek najbliższy mieli wywieźć rodziny wojskowych i wielu innych według spisu, a do Wilna, na miejsce wywiezionych spodziewano się napływu ludzi z głębi Rosji. Lecz ten najbliższy poniedziałek minął spokojnie, a za ten w niedzielę podczas Mszy św. znienacka, zupełnie niespodziewanie zaczęło się bombardowanie miasta i okolic. Owego pamiętnego dnia odmieniło się znów nasze wojenne bytowanie. 27-10-1941.

Nocą Niemców na Rosję-sejuszniczkę. Wkrótce po ich nadejściu postanowiliśmy z Edziem iść do Szajkun, a nim to nastąpiło ze zdumieniem patrzyliśmy na nowe, lśniące czołgi i samochody ciężarowe, z których wysiadali butni, eleganccy wojskowi, jakże odmienni w wyglądzie ~~zwykłych~~ od tych dotąd oglądanych, lecz tylko w wyglądzie.

Ruszyliśmy do Szajkun piechotą, ~~okaza~~ 70 km i szliśmy cały dzień z małą chwiłką wypoczynku, by dotrzeć przed nocą, pełni troski i niepokoju o to, co zastaniemy. Zataliśmy Sobotę zapatrzoney Sowchoz, zapasy zboża, inwentarz, robotników jak za najlepszych czasów. Nie pod każdym względem, bowiem dom mieszkalny (dawna oficyna - po pożarze mieszkalnego domu) przedstawiał widok żałosny. Nieopisany brud, robactwo plastrami trzymające się ścian, okno grubą warstwą wbitę w podłogę, powybijane szyby w oknach pozatykane szmatami, drzwi bez klamek... Nie sposób było tam wejść, ani choć przez godzinę przebywać. Na szczęście była Kurza Stopka, mały domek ogrodnika, w którym pomimo nieopisanego, niesamowitej ilości pcheł i pluskwi - można było wytrzymać. Po kilku dniach pobytu i rozglądania się, zapewniania się z warunkami, pojednaliśmy do Wilna, już niechęcią, a parą koni, drażniastym wozem wynakowanym żywnością dla głodujących w mieście Mamę i Jadzią z Jurkiem, ~~z~~ i innych członków rodziny. Postanowiliśmy zabrać Mamę z Jazdą do Szajkun i nie rozstawać się do końca wojny. Czas był najwyższy, bowiem o żywność było bardzo trudno. Z radością likwidowano na Kolonii Magistrackiej mieszkanke, tuż przy samej Szosie Niemcewiczowskiej i po paru dniach jechaliśmy z Mamą, Jazdą, Jurkiem i Szczeniakiem wilczurą do Szajkun. Tam nie odczuwaliśmy skutków wojny, nawet nasza przedwojenna gospodyni pani Sadowska odnalazła się i natychmiast objęła swoje rzędy, prowadząc całą gospodarstwo kobiecą i kuchnię. W pierwszych dniach sierpnia Jazdia samotnie wyruszyła do Ustrzeża, gdzie koniecznie chciała być u siebie, a we wrześniu zabrała Jurka, w październiku zaś ~~przejechała~~ przysłała po Mamę, mając zorganizowane bytowanie. Podróż do Ustrzeża furmanką trwała trzy dni.

Wkrótce do Szajkun na miejsce Mamy przyjechali Zygmunt z Basią. Po nadejściu Niemców zlikwidowali mieszkanke w Ozarelach, przenieśli się ~~na~~ Tomasz z Zana, gdzie czuli się chwilowo bezpieczni, na zimę jednak wleli zamieszkać w Szajkunach razem ze mną i Edziem. Było jeszcze wtedy spokojnie i dostatnie. Wnieśli z sobą duże życie i beztroskiego humoru, a mała Basia szczebiotała.

Jesienną przybył do Szajkun, ukrywający się przed Niemcami porucznik 17go Pułku Uł. ~~bedaj~~ że kolega Zygmunta, zaproszony przez niego. Inteligentny, przyświejny, ślicznie wychowany. Zle się stało, że tu przyjechał. Nie miał wyobraźni Zygmunta, może zbyt ufał Hani, może sobie samemu, swojej wąskiej urzędzie! Zakończył się w Siekluckim Hania, zakończył się i on w niej.

Jak zawsze szybka w działaniu Hania zażądała od Zygmunta rozwodu, rozłąki od Łoza w pierwszy rzędzio! Na to nie strzymała zgody, odmówił kategorycznie. Zaczęły się sceny, kłótnie, atmosfera w domu trudna do wytrzymania. W uciesze od domu, Hania nie zastanawiając się czym to grozi zaczęła działać w konspiracji, a pierwszą jej czynnością było wyrabianie dokumentów dla Żydów.

Wyrobiła doktorowi z Łodzi, Skuliście, Słobockiemu, jego żonie i synowi, potem znajomej doktorostwa, która złapana przez gestapo wyjechała Hanię. Udało się tym razem wyprzedzić, wykręcić się ze wszystkich podejrzeń, skończyło się na 2 tygodniach aresztu na Ofiarnej i radośnie powróciła do domu.

Między Szajkunami, a Wilnem częste teraz kursowały furmanki wiozące Hanię lub anie. Hania pełniła obowiązki łączniczki, to pomagała do uciekania z